

Od autora: Pomieszałem trochę kolejności dodawania rozdziałów i sam się pogubiłem, kiedy zacząłem je przeglądać... dodaje rozdział VII, bo tego właśnie brakło w całym cyklu. W tej części miłe nawiązanie do... sami zobaczycie czego albo lepiej... kogo... Oczywiście wszystko odbyło się za zgodą i z wyraźną uciechą z tego nawiązania.

Autor

Rozdział VII

Elduriański Nowy York

Druga – prawa półkula – była nazywana przez mieszkańców odległych planet i galaktyk dość specyficznie. Elduriański Nowy York. Nazwa wzięła się głównie stąd, że przypominała ona w bardzo dużym stopniu to współczesne ziemskie miasto. Dominata wysokich, szklanych budynków, nowoczesnych technologii w postaci telefonów wyświetlających holograficzny obraz rozmówcy i dzwoniącego czy powietrznych linii metra to tylko niektóre przykłady tego, jak wyglądał obraz społeczeństwa i miasta po drugiej stronie Wielkiego Muru dzielącego Elduriański Las Natury i Elduriańskiego Nowego Yorku.

Po tej stronie u ludzi dominował pośpiech, roztrzepanie czy chęć podejmowania ryzyka. Matki z dziećmi, które wielokrotnie chciały przejść nie po pasach a w dowolnie wybranych miejscach, na drugą stronę zakorkowanej ulicy, musiały nasłuchiwać się od zdenerwowanych kierowców, gwałtownie hamujących, wulgarnych komentarzy, często opatrzonych środkowym palcem.

Jednak, co ciekawe, w tym społeczeństwie raczej nie dominowały żadne patologie społeczne. Nie było bezrobocia, ponieważ nowo budowane wieżowce zapewniały pracę kolejnej setce osób. Tylko czasami zdarzały się gdzieniegdzie przypadki bezdomności, ubóstwa czy przestępczości.

Wszystkie dzieci wychowujące się w tym mieście miały obowiązek uczęszczania do szkoły, nie do osiemnastego, lecz do dwudziestego roku życia. Przechodziły najpierw selekcję wstępną w szkołkach rozwojowych, gdzie były dzielone na tych zdolnych, średnich i słabych.

Pierwsi mieli od razu zapewniony dostęp do wyższych szczebli nauczania. Chodziły do szkół osobowości, gdzie rozwijały się intelektualnie i charakterologicznie, kształtując najważniejsze i najlepsze cechy, jakimi obdarzyła ich matka natura.

Druga grupa, ci mniej zdolni, byli oddelegowywani do Akademii Późniejszych Lat, gdzie przebywając do osiągnięcia pełnoletności – dwudziestu lat – mierzyli się z różnymi trudami życia, czasem nawet szkoląc się na wojowników broniących całej planety, a nie tylko lewej półkuli.

Ostatnia grupa – osoby słabe. Im nie wrócono praktycznie żadnej przyszłości, dlatego od wczesnych lat dzieciństwa mogły podejmować pracę w takich zawodach jak gazeciarz czy kucharz.

Krystian szedł zatłoczonym chodnikiem szturchając co chwila ramieniem jakiegoś dobrze ubranego mężczyznę właśnie zmierzającego do pracy. Podarta koszula lekko falowała przy słabym wiatyku.

Ludzie, których mijał, gapili się na niego jak na kosmitę. Chłopak w koszuli wyglądającej jak...niewyglądająca, na dodatek brudny, przemierzał ulicę Elduriańskiego Nowego Yorku w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Niektórym żal go było i dlatego, zatrzymując się przy nim, wręczali kilka kamiennych krążków służących jako pieniądze. Awers, czyli przednia strona monety była bogato zdobiona różnymi ornamentami i symbolami pradawnych ludów zamieszkujących Eldurię, a pośrodku wznosiła się postać szefa wszystkich szefów – Aldehyda. Zaś rewers to kilka żłobień na kształt liter i nic więcej.

Głowę chłopaka zakrzątały różne myśli. Gdzie on jest, co ma dalej zrobić? Jednak najważniejsze było to, że po raz pierwszy zaczął martwić się o swoją siostrę. Zastanawiał się, co w tej chwili robi, czy w ogóle żyje. Zdawał sobie sprawę, że być może dużo czasu upłynie, zanim znów się spotkają. Nagle poczuł przeszywający ból. Runął na ziemię i leżąc na zimnym brukowanym chodniku poczuł, jak przed oczami wiruje mu całe niebo.

Szef głęboko sięgającej organizacji przestępczej o kryptonimie ZORG siedział w swym fotelu i popijał wino. Na jego twarzy malował się szyderczy uśmiech. Cieszył się z dobrze wykonanego zadania, które powierzył dwóm najlepszym przestępcom. Wiedział, że niedługo skarb będzie jego i dzięki temu zdobędzie przychylność wszystkich polityków i w końcu będzie mógł zasiąść w Wysokiej Radzie Wilczego Jaru.

No, Berni, ostatni łyk tego czerwonego świństwa na dzisiaj i bierzesz się do roboty – myślał. Za długo już zwlekałeś.

Przyłożył kieliszek do ust... w tym momencie zadzwonił telefon. Rozmówcą był Fred Wilson współpracownik Johnego.

– Panie Szefie... - zaczął łamiącym się głosem.

– Co jest Fredi? Czyżbyście mieli dla mnie dobre wieści. Znaleźliście skarb? – krzyknął do słuchawki.

– No..., jakby to powiedzieć... jestem właśnie w tym domu, co go mieliśmy ograbić... Udałem się tam, bo Johny długo nie wracał... – urwał.

– No i...? – wielki szef uderzył dłonią w mahoniowe biurko. – Gadaj!

– Obawiam się, że Johnego wciągnęło to coś.

W słuchawce nastała długa cisza. Szef wstał. Jego gruba twarz kipiała złością. Zastanawiał się, o czym mówi jego pracownik. Położył bezprzewodową słuchawkę na blacie biurka, poprzeklinał coś pod nosem i podszedł do czarnego krzesła. Jedną ręką oparł się na nim, a drugą naciskał przycisk wyciągniętego przed chwilą pilota. Przełączał właśnie na wideo rozmowę.

Jego oczom ukazał się czarny obraz, a w tle słyszał tylko dyszenie.

– Odsuń słuchawkę od uszu, głąbie! Rozmawiasz teraz ze mną na wideo. Pokaż no szybko, co tam masz.

Fred ustawił obraz kamery tak, by widać było niebieską poświatę Wrót. Otworzył małe drzwiczki na ścianie i w tym momencie został wciągnięty.

Szef przyglądał się temu bardzo uważnie. Był pod wielkim wrażeniem.

Usiadł na krześle i wypił lampkę wina.

No, Bernierdhku. Chyba znalazłeś coś cenniejszego niż skarb rodu Moreau – pomyślał.

W słuchawce odzywał się dźwięk oczekiwania na połączenie. Tymczasem Fred był już po drugiej stronie.

Krystian ledwo dostrzegł stojącą nad nim postać. Po tonie i barwie głosu dostrzegł, że to dziewczyna, ale nic więcej nie mógł o niej powiedzieć. Wciąż kręciło mu się w głowie, a przed oczami latały mu, wyrzucające piłkę z pola autowego, postacie Davida Beckahama.

– Ej! Nic ci się nie stało? – zapytał delikatny głosik i wyciągnął rękę w stronę poszkodowanego.

Całe zdarzenie wywołało małe poruszenie na ulicy. Kilku przechodniów zatrzymało się i, pokiwawszy głową na znak, że brak im słów, zaoferowało swoją pomoc. Ale tajemnicza osobniczka mimo chodem ją odrzucała.

Chłopak chwycił się wyciągniętej ręki, wstał na równe nogi i przez chwilę jeszcze podtrzymywał się czerwonej barierki stojącej przy nim.

– Przepraszam, że na ciebie wpadłam. Na pewno wszystko w porządku.

Krystian uniósł wzrok w stronę twarzy dziewczyny i ujrzał prześliczną blondynkę, mniej więcej czternastoletnią. Przyglądał jej się chwilę oniemiały jej urokiem. Poczuł, jak w brzuchu zaczynają latać mu motylki, a on sam myśli o niej nie jako o zwykłej dziewczynie, ale o kimś więcej.

– N...Nic...się nie stało – odchrząknął Krystian. Podrapał się z tyłu głowy chcąc ukryć swoje uczucia i myśli, choć w obecnym stanie nie było to wcale łatwe.

– Nazywam się Susan. Susan Fahren. – wyciągnęła rękę na powitanie. Ich ręce spotkały się. Krystian, dotykając jej delikatnej dłoni, wiedział już, że to ta jedyna, z którą chce spędzić resztę życia. Motylki w brzuchu przemieniły się w szybsze bicie serca.

Krystian sam w sobie był chłopakiem niejednokrotnie kryjącym swoje uczucia. Był nieśmiały w stosunku do dziewczyn, szczególnie tych ładnych, co bardzo utrudniało mu nawiązanie kontaktu z nimi. Kiedyś jednak zdobył się na odwagę i zagadał do pewnej dziewczyny. Spotkało się to z niemalą krytyką, wyśmianiem i szyderstwem. Na jego głowie wylądowało wtedy spaghetti podawane na obiad w szkolnej stołówce.

Po trafieniu na Eldurię coś się zmieniło. Poczuł, jak zaczyna nabierać odwagi. Teraz swobodnie

patrzył na mijające go kobiety, nawet te dwudziestokilkuletnie. Zapomniał o wszystkich wątpliwościach, jakie miały miejsce przy spotkaniach z płcią przeciwną. Otworzył się do nich, co miało miejsce właśnie przy spotkaniu z Susan.

– Przepraszam raz jeszcze, że na ciebie wpadłam. Spieszyłam się do szkoły. Na pewno nic ci nie jest. – otarła ręką kurz z ramienia chłopaka.

– Mówiłem już, że nie. Raczej to ja powinienem przeprosić, za to, że cię nie zauważyłem.

Susan machnęła ręką i wskazała miejsce gdzieś w oddali. Chwyciła Krystiana za podartą koszulę i pobiegła razem z nim w stronę Żółtego Parku.

I tak już jestem spóźniona. Mówi się trudno. Jeden dzień bez szkoły jeszcze nikomu nie zaszkodził – pomyślała.

Biegąc w stronę parku Krystian czuł, jak szwy na jego koszuli puszczają. Bał się, aby w pewnym momencie nie stanął na ulicy na pół roznegliżowany. Susan też to zauważyła, bo wyraźnie zwolniła kroku i rozluźniła zaciśniętą na materiale dłoń.

– To już niedaleko. Chodź szybko.

– Gdzie ty mnie prowadzisz, dziewczyno?

– Zaraz zobaczysz. Chodź.

Przebiegła na drugą stronę ulicy, nie zatrzymując się przed nadjeżdżającą ciężarówką, i wbiegła do stojącego naprzeciwko nich wielkiego szklanego budynku.

– To tutaj. – wskazała na drzwi znajdujące się na parterze. Wyciągnęła klucze i zaczęła szperać przy zamku.

Chłopak dyszał, opierając się o ścianę. Przed chwilą pierwszy raz w życiu był tak blisko nadjeżdżającego pojazdu. Wciąż nie mógł się otrząsnąć.

Susan otworzyła na szerokość drzwi i zaprosiła przybysza do domu.

– Mówiłeś, że jak masz na imię. – odwróciła się w progu.

– Krystian. Jestem Krystian Taylor.

– Urodziwy z ciebie chłopak. – powiedziała. Chłopak zarumienił się. Nikt, żadna kobieta, po za jego własną matką, nie powiedziała mu wcześniej, że jest urodziwy. Bardzo mu to pochwaliło. – Rozgość się, a ja zaparzę herbaty.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było niewielkie i słabo wystrojone. Kilka szafek, stary, cicho grający telewizor firmy *Telewix*, drewniany stół z czajnikiem, przy którym Susan parzyła ciepłe napoje dla swoich gości i kanapa. To wszystko, co znajdowało się w tym pokoju.

– Ładnie tu u ciebie.

– Hahaha! – zaśmiała się głośno. – Nie żartuj sobie.

– Nie żartuję. Naprawdę mi się tu podoba.

– Jak na kogoś, kogo rodzice zginęli w wypadku i teraz musi radzić sobie sam, to całkiem źle nie jest.

Krystian poczuł się nieswojo. Nie wiedział, że rodzice tej uroczej dziewczyny nie żyją. Dlatego nie zauważyłem nigdzie jej pokoju – pomyślał.

– Mieszkasz tu sama? – zapytał nieco zakłopotany.

– Tak. Nasze elduriańskie prawo na to pozwala. Jeżeli twoi rodzice opuścili cię z jakiś przyczyn, masz dwie drogi do wyboru. Albo idziesz do Domu Samotnego Dziecka, albo stajesz przed komisją, która decyduje, czy jesteś w stanie sam o siebie zadbać, czy nie. Tu w Eldurii jest wiele takich dzieci – uśmiechnęła się. – No, herbata już prawie gotowa. Siadaj. Zaraz przyniosę.

Chłopak usiadł na kanapie. Wyciągnął nogi przed siebie i chwilę relaksował się, po czym zwrócił się ze zdziwieniem do Susan.

– Powiedziałaś, tu w... E...

– Eldurii – dokończyła i postawiła przed nim kubek parującej cytrynowej herbaty. – Aha. Rozumiem. Kolega nie jest stąd. Skąd przybyłeś, z Tremontu czy Ragilusa.

– Prawdę mówiąc, jestem... jestem...

– Tylko nie mów mi, że przybyłeś tutaj z Dorax. Nikt z nas ich nie lubi. A wiesz dlaczego, bo są wyniośli, jak nie powiem co. Może i mają to coś w sobie, na co leci każda dziewczyna, ale nie potrafią przegrywać, i to jest ich największa wada.

– Przegrywać, jak to?

– No, my tutaj na Eldurii mamy co roku organizowane zawody międzygalaktyczne. Jest duży stadion, dwie drużyny... zresztą, co ci będę opowiadać, chodź pokażę ci.

Ponownie pochwyciła Krystiana za rękę i wybiegła z nim prosto na zatłoczone ulice Elduriańskiego Nowego Yorku.

dnia 4 lutego 1994r.).

Krystiansuper25, dodano 05.07.2016 12:37

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.